



KORNEL MAKUSZYŃSKI.

W SIERPNIU 1920 ROKU

A kiedy nadszedł wówczas dzień
straszliwy,
Zakrzyknął lew niebieski głosem,
co z gardzieli
Jak piorun straszliwy wybucha;
Wicher rwał mu płomienie
z grzywy,

Że aniołowie truchleli.
A głos był, jak zawierucha,
Wołający wyciem burzy:
Spuście już ze smyczy ducha,
Wy, polscy smętni rycerze,
A serce, co ma kształt róży,
Wciąż rozpachnione miłością,
Niech się jako stał wydłuży,
Szału niech w siebie nabierze,
Niech się napełni obłędem,
Niechoj się zemstą zachłystnie
I jak granat niech się ciśnie,
Lub dzikiego konia pędem
Pędzi, zanim dech w nim skona;
Jak chmura, wichrem szalona,
Z czarcim, ponurem obliczem,
Z porunami w głębi łona,
Gradowym siekącą biczem,
Czy kto żyw jest, czy umarły!

Czy to się groby otwały?
Czyli ci, co padli rano,
Wiedzieli, że w nocy wstaną,
By umrzeć siedemkroć razy?
Czy w kościołach pękły głazy
A z pod zatartych napisów,
Straszni wyszli bezimienne
I na siny blask kirysów,
Ogniste włożyli wieniec,
I wprost z trupiego noclegu,
Poszli, by—stanąć w szeregu?
Och, patrz, serce upojone,
Jak w straszliwą noc sierpniową,

Za archanielską namową,
Duchy, śmiertelnie strudzone,
Nim zorza błysnie świetlana,
Biegną od Świętego Jana
I u zaułka wylotu
Kładą swoje ciała blade
Na śmiertelną barykadę
I dział nasłuchują grzmotu,
Na powtórną śmierć gotowe!
Jeden z nich świetlaną głowę,
Miesięcznego pełną blasku,
Wzniósł i słucha, jak zórawie,
Śmierci patrzące z pod chmury,
Bowiem wśród wielkiego trzasku,
Wali się, jak strumień z góry,
Ognistej podobny lawie
Jakiś najstraszliwszy z pułków,
Co z pod murów gdzieś wyrasta:
To dzwon zbudził wśród zaułków,
Szewców ze Starego Miasta.

Śmierć, lub życie!!!... Chryste Panie!
W posadach zadrżały domy,
Tysiąc okien zaszło krwią.
A na okropne wołanie,
Granitowe drgnęły złomy,
Kamienie, jak serca drżą...
Jeszcze chwila, a Bóg się zdumieje,
Cudem straszliwym przeleży,
Bo wszystkie kamienie jęły,
Wichrem westchnęły ulice
I cisnęły się przed siebie,
Jak węzowe błyskawice,
Gdy straszliwy bój jest w niebie,
Bowiem tak jest napisano,
Że gdy w Polsce duch się budzi
To ponad cudy urasta:
Wtedy w kule ołowianą,
Zamienia się serce ludzi,
A na wojnę chodzą miasta...

Wtedy się stało... Pamiętasz,
Serce, kwitnące purpurą?
Groby się wzdęły i cmentarz
Płomienistą stał się górą.
Bój i szal... Bóg wychylony
Rozkrwawioną skryty chmurą,
Patrzył w nas, śmiertelnie blade...
Aniołowie bili w dzwony,
I niebios otwarli wrota
Dla wędrującej gromady,
A kuzawa wstała złota,
Na niebieskiej, mlecznej drodze,
Że była jako w pożodze...
Aż Bóg drgnął, bo przyszły posły,
I tako przed Nim wyrosły,
Jako kwiaty purpurowe,
I skrawioną chyląc głowę.
Ostatnim rzekł oddechem:
„Jem jest sługa Twego Syna,
Ksiądz Skorupka... oto, Panie,
Bieję tu z pod Radzymina
Cały zmieniony w wołanie.
Cały zmieniony w rozpaczę
I nie jękiem, lecz krwią płaczę,
By ich nie odbiegły moce...
Otom wziął, jak Dawid procę
I krzyżem biłem w Goljata,
Lecz tam śmierć nad nimi lata.
A oni, Panie na niebie,
Polskę ratują i — Ciebie!“
Zas drugi, złociste pacholę,
Głosem, jako srebrny dzwonek,
Umierający skowronek,
Rzekło Bogu: „Byłem w szkole.
Zwę się Płoszko i ze szkoły
Pomiędzy białe anioły
Przybiegłem prosić Cię, Panie,
Aby łaska Twoja święta,
Ocaliła pacholęta...
Ja słodkie miałem konanie,

Lecz niech ocaleją oni,
Aby matki nie płakały...“
A Bóg, jak opłatek biały,
Głowę ku niemu nakłoni,
Włosy mu zgarnie ze skroni,
Na główkę położył ręce
I bczy całował dziecięcę...

Wtedy niebo się rozbłysło,
Ziemia krzyknęła straszliwie,
I dokonał się nad Wisłą,
Cud dokonał się prawdziwie:
Za ból i wszystkie rozpaczę,
Za splugawione żywoty,
Za matkę, co dotąd płacze,
Za krwawe, żołnierskie poty,
Za znieważonego Boga,
Za trupy, u chat swych proga,
Za tych, stawianych pod ścianę...

Chwała ci, o, polski duchu
W nieśmiertelność swą spowity,
Cichy, jak morze w bezruchu,
A piorunami pobity,
Tak straszliwy, jako morze
Kiedy burza je rozorze
I straszliwość w nim rozpeła
O, mocy polska — usnęła,
Czy czekasz na pacholęta,
I w laurowym gaju drzemiesz,
Zanim nowa krew pociecze?
Wstań i odpasawszy miecze,
W bożym szale chwyc za lemięsz,
Laury w złoto zboża zamień,
Bo wspomnienia każde słowo
W pierś się ciśnie purpurową
Jako ciężki, mściwy kamień
Ze sumienia strasznej procy.

Mocyl! nieśmiertelna mocy!

FRYDERYK M. SMITH.

ZAIRA

(Romans kryminalny marokański).
Przełożył S. W.

Młoda amerykanka pomimo największych wysiłków woli, nie mogła nic wymiarkować ze słów obu maurów, nerwy jej tylko doszły do najwyższego stopnia napięcia. Zdawało jej się, iż lada chwila stać się musi coś niezwykłego. Przelotnie, gdy głowa żyda opadała na splecione ręce, pochwyciła spojrzenie jego czarnych oczu, lecz nie było to wcale spojrzenie pijanego, przeciwnie, było ono bystre i chytre. Nie ulegało wątpliwości, że żyd nie miał nic wspólnego z maurami, czyżby i on był zainteresowany tym wstępnym pierścieniem? Doprawdy, cała ta płatanina niepewności i tajemnic stawała się udręką nie do zniesienia.

Teraz głowa żyda przechyliła się na bok i ukazało się jedno ucho: widocznie z nateżoną uwagą podłuchiwał rozmowę dwóch maurów. Ci doszli już prawdopodobnie do porozumienia, umilkli, powstał z miejsc, naciągnęli burnusy na ramiona i jeden z nich powiedział kilka słów do piekarza, który zaraz zwrócił się do Elizy.

— Pani pójdzie z niemi—powiedział wskazując maurów — oni życzliwi, oni będą opieko-

5) wać się pania, — oni odnajdą przyjaciela pani, jeżeli jeszcze żyje.

Słowa te napełniły nadzieją serce Elizy, w jej mniemaniu oznaczały one, że jej zostanie zwrócona swoboda, że powróci do hotelu do swych towarzyszy podróży i że będzie mogła odszukać Borrowsa i nieść mu pomoc. Sama ta myśl rozjaśniła jej twarz, gdy pytający wzrok skierowała na swych prześladowców. Oni skłonili się, jakby chcąc w ten sposób potwierdzić słowa tiomacza i niebawem razem z nią opuścili piekarnię.

Eliza postępowała pośrodku dwóch mężczyzn, a nadzieja, iż się na koniec wydostanie z tego męczącego położenia, że się znajdzie wśród swych amerykańskich przyjaciół, dodawała jej skrzydeł, biegła też tak szybko, że maurowie z trudem podążali za nią. Laskę trzymała silnie w rękę w niejasnym poczuciu, że może jeszcze jej się przydać. Radość jej i nadzieja miały być jednak krótkotrwałe.

Po chwili weszli w uliczkę tak wąską, iż górne piętra domów zdawały się stykać ze sobą. W pewnych odstępach unosiły się ponad uliczką sklezione łuki stanowiące napowietrzne przejście między przeciwniegiemi budynkami, a w ulicy tworzyły jakby symetryczny szereg tunelów do których nie przenikało światło latarni i panowała w nich nieprzenikniona ciemność. Właśnie gdy weszli do jednego z takich tunelów, mężczyzna idący po prawej stronie Elizy

ujął ją za ramię i pociągnął w stronę znajdujących się tam drzwi. Ale nagle i w młodej amerykance zbudziła się energia i chęć walki: gdy spostrzegła manewr maura, krzyknęła przeźrażliwie i podniosła laskę aby się nią bronić. Walka nie trwała długo. Momentalnie laska została jej wyrwana, a wyższy z dwóch mężczyzn wepchnął ją brutalnie w wąskie przejście i zamknął drzwi wchodowe za sobą. Krzyków jej nikt nie posłyszał, a opór jej trwał krótko, przeprowadzono ją szybko przez jakieś wąskie przejście, następnie przez podwórko i wprowadzono po schodach na piętro do izdebki, gdzie paliła się lampa olejna słabo oświetlona, to jej nowe więzienie. Było to typowe mieszkanie maurytańskie, ściany zawieszono matami i podłogi zasłane niemi, dookoła na ziemi pod ścianami leżały materace i poduszki, powietrze przesycone było zapachem aloesu i kadzidła. Niewolnik, który tylko co wszedł do izdebki, niosąc dzban wody na głowie, na znak dany przez maura postawił go na ziemi i oczekiwał dalszych rozkazów. Rozległo się głośnie wołanie, na głos którego ukazała się we drzwiach przyległego pokoju postać młodej kobiety. Eliza na jej widok nabrała znów cokolwiek otuchy—wszak kobieta nie mogła odmówić pomocy drugiej kobiecie. Pomiędzy przybyłymi i mieszkańcami domu zawiązała się rozmowa; maurowie mówili coś, wskazując Elizę a kobieta i murzyn odpowiadali na ich słowa i polecenia.